Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

# WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 2 | Warszawa, Niedziela 10 stycznia 1937 r. | Rok II.

# Kolos na glinianych nogach

## Niezwykłe dzieje „Łącznika pocztowego"

W grudniu r. ub. zakończył swój żywot miesięcznik „Łącznik Pocztowy". Najprawdopodobniej nie poświęcalibyśmy temu specjalnej uwagi, gdyby nie fakty w conajmniej dziwnym świetle prezentujące to, niewątpliwie najdziwaczniejsze wydawnictwo w odrodzonej Polsce.

Ostatni, 12 numer „Łącznika Pocztowego" wydany w grudniu 1936 ukazał się zaopatrzony w następującą notatkę redakcyjną:

**„Drodzy Czytelnicy!**

**Cztery lata rozmawialiśmy ze sobą za pośrednictwem naszego pisma. Dzisiaj, z powodów niezależnych od „Reklamy Pocztowej", wypuszczamy w świat ostatni numer wydawanego przez nią Łącznika Pocztowego.**

**Z żalem żegnamy wszystkich naszych miłych przyjaciół i dziękujemy za okazywane nam zaufanie i życzliwe poparcie naszych wysiłków.**

**Wszystkim naszym czytelnikom, przyjaciołom i współpracownikom składamy serdeczne życzenia Wesołych Świąt i dobrego Nowego Roku.**

**Reklama Pocztowa, Redakcja i Administracja".**

Dla wielu w notatce tej nie było nic specjalnie dziwnego, ani niezrozumiałego. Konwencjonalna treść, konwencjonalne życzenia i to wszystko. My jednak ośmielimy się **przenicować „pożegnanie" Reklamy Pocztowej** z czytelnikami „Łącznika Pocztowego", prezentując w ten sposób osobom zainteresowanym prawdziwe oblicze tego najbardziej, w naszym pojęciu zakłamanego wydawnictwa jakie zna historia polskiej prasy.

### NARODZINY „ŁĄCZNIKA".

Nie będziemy sięgali do genezy powstania „Łącznika Pocztowego", jest ona bowiem w swym założeniu ideowym (jeśli takowe było...) arcymętna i w rzeczywistości nieciekawa. Bezporównania bardziej interesująco przedstawia się rozwój pisma, które, trzeba to przyznać z reweransem było w swej bezużytecznej koncepcji dzieckiem **znakomitego speca od reklamy p. Melchiora Wańkowicza,** ówczesnego naczelnego dyrektora, dość tajemniczej instytucji, nazywanej — Reklamą Pocztową.

Pan Wańkowicz, szef propagandy cukru, który krzepi i szeregu innych, imponujących imprez, ponadto współwłaściciel firmy wydawniczej „Rój", postanowił przy Reklamie Pocztowej uruchomić wydawnictwo, które w części redakcyjno - administracyjnej załatwiano we „własnym zakresie", natomiast kolportażowo zostało powierzone instytucji państwowej — Poczcie.

### LISTONOSZE — KOLPORTERAMI.

Innymi słowy, Reklama Pocztowa dostarczała gotowy numer poszczególnym dyrekcjom pocztowym, te z kolei rozdzielały egzemplarze na urzędy, a **urzędy „przydzielały" odpowiednią ilość każdemu listonoszowi,** który egzemplarze te powinien był sprzedać wśród mieszkańców co dnia odwiedzanych domów. Piszemy „powinien był", bo oczywiście nikt go do sprzedaży nie zmuszał, ale... lepiej było jesli sprzedawał, zwłaszcza, że mógł w ten sposób dorobić do swej pensji parę dodatkowych groszy, bowiem egzemplarz „Łącznika Pocztowego" w pierwszej fazie kosztował 10 gr., przyczym 5 gr. szło dla listonosza, pozostałe 5 gr. dla Reklamy Pocztowej.

Jak dobrze była cała impreza obmyślona, świadczył o tym fakt, że **nakład „Łącznika Pocztowego" rósł z miesiąca na miesiąc,** dochodząc wreszcie do cyfry około 175 — 200 tysięcy egzemplarzy.

Ktokolwiek orientuje się w cyfrach naszych wydawnictw periodycznych, musi z szacunkiem **schylić głowę przed talentem organizacyjnym** p. Melchiora Wańkowicza, cyfra bowiem nakładu „Łącznika Pocztowego" była istotnie imponująca i pismo to wysforowało się na czoło znakomitych organów dla wszelkiego rodzaju kampanii reklamowych.

Co prawda, ten i ów nie raz zastanawiał się co właściwie widzą czytelnicy w „Łączniku Pocztowym" tak gromadnie garnąc się do niego, ale dla ogłaszających się w „Łączniku" najważniejszym był fakt drukowania istotnie olbrzymiego nakładu, **znakomicie rozkolportowanego** po całej Polsce, przy pomocy tak idealnie sprawnego oparatu kolportażowego jak — Poczta państwowa.

### KANCIARSKIE OGŁOSZENIA.

Było więc w „Łączniku" ogłoszeń co nie miara, a że wśród nich olbrzymią większość zajmowały **ogłoszenia łagodnie określając „kanciarskie",** a więc jakieś podejrzane łamigłówki, które niejedną firmę zaprowadziły za kratki kryminału, jakieś ozdoby choinkowe 160 sztuk za 4 zł., że było tam co nie miara ogłoszeń firm dostarczających za 3 czy 4 zł., automatyczne straszaki, bądź lalki wołające „ma-ma" lub książeczki dla... rozrywek towarzyskich, to już kwestja lekkomyślności kierownictwa działu ogłoszeniowego, które decydowało się, dla zdobycia jeszcze kilkudziesięciu czy kilkuset złotych, **narażać na szwank opinję pisma** istniejącego, bądź co bądź, pod egidą ministerstwa Poczt i Telegrafów.

Jak wspomnieliśmy więc wyżej, „Łącznik" prosperował co raz lepiej, nawet wtedy gdy p. Wańkowicz, dbały o jego szatę zewnętrzną zdecydował się ozdabiać każdy numer **okładką rotograwiurową, co podniosło cenę do 15 groszy,** a koszt numeru z 5 gr. dotychczas wpłacanych przez listonosza Reklamie Pocztowej, do... 12,5 gr. W ten sposób dla listonosza pozostawało 2,5 gr. zarobku za pracę kolportażową. Ostatecznie i te groszaki nie byłyby najgorsze przy mizernej pensji niższego funkcjonariusza pocztowego, gdyby nie drobnostka, że najczęściej nie widział ich wogóle.

### ORGANIZACJA KOLPORTAŻU.

Jak to? — zapytasz czytelniku, — wszakże listonosz, zależnie od rejonu **otrzymywał od 5 do 20 egz. „Łącznika" do sprzedaży,** należność zwykle za wszystkie „sprzedane" egzemplarze wpłacał co miesiąc do swego urzędu, bądź też urząd ten właściwą sumę przy wypłatach miesięcznych potrącał mu. Pieniądze z urzędów wędrowały do dyrekcji, z dyrekcji do ministerstwa, a ministerstwo regularnie wypłacało całą sumę należną z rozsprzedaży 200 tys. „Łącznika" — Reklamie Pocztowej, więc?

Prawdziwe oblicze tej arcy-niefortunnej imprezy wydawniczej jakże bardzo specyficznej dla naszych stosunków, okazało się dopiero wtedy, gdy „Łącznikiem" **zainteresował się p. minister Kaliński i zakazał dalszego kolportażu** za pośrednictwem listonoszów. Było to, mniej więcej, przed dwoma laty. I oto potężne wydawnictwo, które **drukowało się w 175 — 200 tys. egzemplarzy,** nie mogło stworzyć własnego kolportażu, a przede wszystkim znaleźć rynku zbytu dla tego olbrzymiego nakładu.

Okazało się, że „Łącznikiem Pocztowym" nie interesuje się... pies z kulawą nogą.

### TAJEMNICA WIELKIEGO NAKŁADU.

I znów, słusznie zapytasz czytelniku: jakże to, póki listonosze kolportowali „Łącznika" cały nakład tego wydawnictwa rozchodził się idealnie, gdy ten aparat kolportażowy stracono, trzeba było **potężnie rozbudowaną imprezę wydawniczą,** jak rzadko **która wprowadzoną** na rynek na łeb na szyję likwidować? Ki diabeł?

Sprawa jest bardzo prosta. Oto listonosz każdomiesięcznie **otrzymywał swój przydział egzemplarzy „Łącznika".** Jak zaznaczyliśmy różne to były cyfry, od 5 egz. począwszy na 20 skończywszy. Aby sprzedać 5 egzemplarzy, trzeba było wpłacić w macierzystym urzędzie pocztowym dla wydawców „Łącznika" 25 gr., przy 20 egz. cyfra wpłaty sięgała 1 zł. Po tym, gdy koszt egzemplarza z 5 gr. wzrósł do 12,5 gr., oczywiście zwiększyły się wpłaty, za 5 egz. trzeba było płacić 62,5 gr., a za 20 egz. — 2 zł. 50 gr.

Zarówno w pierwszym, jak i w drugim wypadku listonoszowi bardziej kalkulowało się wpłacić co miesiąc taką właśnie sumę na konto Reklamy Pocztowej i egzemplarze powierzone do rozsprzedaży **wyrzucić do... śmietnika,** bądź zużyć na papier do nakrycia płyty w kuchni, niż nanawiać w Warszawie niewidzialnych odbiorców listów (skrzynki w bramach), a na prowincji biedaków dla których 15 gr. jest poważną pozycją **w budżecie domowym,** do kupna pisma nikomu do niczego nie potrzebnego.

Oczywiście nie mamy najmniejszego zamiaru generalizować podobnej „metody" rozsprzedaży „Łącznika". Napewno kilka czy kilkanaście tysięcy egzemplarzy, co miesiąc, trafiało do rąk czytelników, świadczy o tym chociażby fakt, że na wielki konkurs w swoim czasie rozpisany przez wydawnictwo „Łącznika", gdzie były tak nęcące nagrody jak: rower, kajak, aparaty radiowe, książki „Roju", etc. **napłynęło ok. 3.000 kuponów wyciętych** z numerów „Łącznika". Jest to oczywiście jak na rozsprzedawany 200,000 nakład procent mikroskopijnie mały, ale... zawsze jest!

W niektórych dzielnicach kraju, listonosze, zwłaszcza po podwyżce ceny numeru, ustosunkowali się wręcz negatywnie do dalszego obciążenia ich skromnych pensyj haraczem na rzecz... Reklamy Pocztowej. Tak było np. w Poznaniu, gdzie wręcz odmówiono przyjmowania „Łącznika" do kolportażu. Wydawnictwo i na to znalazło sposób. Ogłoszono konkurs dla listonoszy. Ten, który sprzedał najwięcej egzemplarzy „Łącznika", otrzymywał nagrodę w wysokości... 200 zł. Efekt był raczej dodatni, listonosze bowiem słusznie rozumowali, że jeśli wezmą nawet za... 15 zł. egzemplarzy, a otrzymają 200 zł. nagrody, to i tak zarobią jeszcze 185 zł. na czysto, że przy tym zarabiało również wydawnictwo, nie trzeba tłumaczyć.

Oczywiście, gdy pozbawiono Reklamę Pocztową 16.000 tak idealnych, właściwie bezpłatnych kolporterów, sklepik trzeba było zamknąć... Dla prestiżu instytucji, na której czele w międzyczasie stanął **b. podsekretarz stanu w Prezydium Rady Ministrów p. Krzysztof Siedlecki,** usiłowano wykręcić się zdawkowym frazesem w grudniu ubiegłego roku „z powodów niezależnych od Reklamy Pocztowej" zgasł „Łącznik Pocztowy" nikomu nie potrzebny miesięcznik, utrapienie listonoszów i jeszcze jeden, niezbyt pachnący kwiatuszek na niwie polskich afer i skandali.

**Argus.**

**Uprzejmie przypominamy Sz. Prenumeratorom, że czas wpłacić prenumeratę za I kwartał.**

**Administracja**

# Lekarze na cenzurowanym

## Pomyłki i eksperymenty medyczne w świetle faktów

W nr. 50 „Wiem Wszystko" ukazał się artykuł, omawiający nieustanne procesy przeciw lekarzom o odszkodowania za złą kurację.

Autor tego artykułu twierdzi, że w sprawach takich prawie zawsze chodzi o szantaż („kryje się zawsze moment szantażu"). Że „chodzi tylko o postawienie lekarza w sytuację przykrą, że został zaskarżony do sądu i to po to, aby uzyskać odczepne".

W praktyce lekarskiej jednak nie wygląda wszystko tak różowo, jak sobie wspomniany autor wyobraża. Dowodzi tego **obszerna literatura** w różnych językach, szczególnie w angielskim (U.S.A.), a jeszcze więcej w niemieckim, pisana często przez lekarzy. Te wynurzenia wskazują raczej na to, że tylko minimalny ułamek poszkodowanych pacjentów skarży lekarzy.

Jakieś 30 — 35 lat temu wielkiego rozgłosu nabrała **książka dr. Weresajewa,** która z rosyjskiego była przetłumaczona na prawie wszystkie języki kulturalnych narodów i doczekała się bardzo licznych wydań. Tytuł jej był: **„Pomyłki i fałszywe wnioski praktykującego lekarza".** Swe ogromne rozpowszechnienie zawdzięczała ta książka nie posmakowi sensacji, a właśnie swej otwartości, prawości i szczerości. Odznaczała się przytym pewną powściągliwością w przedstawieniu drastycznych tematów.

Za tę „zdradę" tajników gabinetów lekarskich **wszystkie izby lekarskie świata rzuciły „anathemę" na Weressajewa.** Bardzo dużo lekarzy, szczególnie z młodej generacji, godziło się z nim zupełnie. Ale jawnie wystąpić przeciwko swej **zawodowej korporacji** nikt nie miał odwagi, nie chcąc narazić swej kariery. Weressajewa ukarano zaraz po ukazaniu się pierwszego wydania jego książki w rosyjskim języku w ten sposób jak to się najczęściej zdarza w historii lecznictwa: zniszczeniem mu praktyki oszczerstwami i intrygami.

Byłby może i zginął, ale wbrew przewidywaniom, książka ta nabrała w świecie takiego rozgłosu, że uzyskane z niej sumy, zdobyły mu w krótkim czasie duży majątek.

Wypadek ten wskazuje na to, jak **silnym jest duch korporacyjny** w stanie lekarskim, który nie łatwo pozwala dojść poszkodowanemu do swych praw i jak niechętnie widzą lekarze otwarte oświetlenie swej działalności i uchylenie rąbka tajemnicy ich stosunków do pacjenta.

Tak poszło zresztą nie tylko Weresajewowi, ale i wielu innym. W ten sposób został potraktowany i **zasłużony, prof. Schleich,** właściwy twórca anestezji. Po 20-letnim wypróbowaniu tego środka przez siebie i przez innych, przemawiał on na międzynarodowym kongresie lekarzy i przyrodników w Wiesbadenie w 1912 r. (Inter. Aerzte- und Naturforscher - Tag).

Gdy w mowie swej wspomniał tylko mimochodem, jakie to szkody wynikały dla ludzkości przez niestosowanie anestezji, to już nie to, że go zakrzyczano, ale wprost zaryczano. Z tych 800 obecnych pewno 3/4 narobiło strasznej wrzawy. Ten **przeczulony lęk lekarzy,** którzy boją się najmniejszej negatywnej krytyki swej działalności i to nawet przez swych najbardziej autorytatywnych kolegów, okazał się i tu w pełnym blasku. No i zwarty duch korporacyjny też.

Albo inny przykład. Dawniej umierało mnóstwo kobiet w gorączce połogowej przez niechlujstwo lekarzy. Nikt im nie mógł nic zarzucić.

Znalazł się jednakże taki. Był to **docent uniwersytetu w Wiedniu, Semmelweiss.** Po długich obserwacjach i badaniach przyszedł do niezłomnego przekonania, że najczęstszą przyczyną, dla czego tak dużo kobiet umiera w gorączce jest ta, że **lekarze i studenci brudnymi,** nieumytymi nawet rękami operowali w czułej i poranionej wówczas vagina. Było to jeszcze w okresie przed wprowadzeniem antiseptyki, ale mycie rąk sodą i mydłem, jak on tego wymagał, też już dużoby znaczyło.

Choć krytyka ta odbywała się w fachowych kołach tylko, za swoje „świętokradztwo" został Semmelweiss surowo ukarany. Odebrano mu docenturę, **zniszczono mu praktykę,** przykryto go jak płatkami śniegu insynuacjami i oszczerstwami, tak, że głodny, biedny, znękany i zaszczuty, skończył w domu dla obłąkanych, w Moedling pod Wiedniem, w wieku lat 39.

Spostrzeżono się potem w następnym pokoleniu, że mu krzywdę zrobiono. Nietylko zresztą jemu, ale wiedzy i ludzkości. Postęp wiedzy, przez zacofanie i egoizm stanowy, został na dłuższy czas zatrzymany i **setki tysięcy kobiet musiało jeszcze ginąć niepotrzebnie w cierpieniach** gorączki połogowej i wskutek zakażenia.

Harvey'a los, twórcy teorii obiegu krwi, prof. londyńskiego uniwersytetu, jest zbyt znany i szerszemu ogółowi, aby się o tem rozpisywać. Jest on zresztą i twórcą teorii ewolucji i rozwoju z jajka. Jego prekursorem o kilkadziesiąt lat wcześniej był Michał Servet, hiszpan właściwie i dr. Miguel Servedo w swym rodzinnym języku. Servet tak drobiazgowo opisał i rysunkami zaopatrzył swą teorię krążenia krwi, że niektórzy przypuszczają, iż Harvey miał swą myśl od niego. Zginął jednak na stosie na rozkaz Kalwina w Genewie, tego zelotycznego protestanckiego papieża. Wprawdzie Kalwina obchodziło w pierwszej linii „kacerstwo" jego teologicznego dzieła, a potem zaprzeczanie boskości Chrystusa. Ale być może nie udałoby się Kalwinowi przeforsować swej woli, gdyby jednocześnie i lekarze nie uznali swego kolegi za kacerza w ich dziedzinie.

Dosyć jednakże tych przykładów, które można mnożyć do dni dzisiejszych. Z nich wszystkich wynika, jak konserwatywnym i przede wszystkim jak czułym jest stan lekarski na wszelką krytykę ich stanu wiedzy i działalności i ich w starej rutynie tkwiących kolegów.

Częste polubowne załatwianie sprawy u nas nie jest dowodem niewinności lub tchórzliwości lekarza lub chęci szantażu ze strony powoda, lecz przy bliższym zapoznaniu się przez ostatniego z realnymi możliwościami udowodnienia nawet niewątpliwej winy lekarza, przynajmniej w dzisiejszych warunkach u nas, powstaje chęć do zgody.

W Szwajcarii egzystuje kilka kierunków medycznych; oprócz medycyny t. z. szkolnej (alopatii), homeopatia i potężny ruch przyrodolecznictwa. Przy tej konkurencji i różnorodności jest dana większa możność obiektywnej ekspertyzy.

Autor artykułu jedno przeoczył. Pisze, że sprawy o odszkodowania dzieją się zazwyczaj na prawie ubogich. Dla niego **biedny, to chciwiec,** złodziej, szantażysta, ‚bolszewik" jednym słowem.

Przykre to, że często daje się zauważyć, że człowiek biedny jest uważany przez wielu za amatora wykorzystania bogatego.

A tymczasem światowa literatura medycznych przewinień podaje nam, że właśnie ludzie biedni są najczęściej **obiektami różnych „wyczynów"** ze strony lekarzy i niektórzy byli nawet tak cyniczni, że wprost mówili, iż człowiek biedny powinien służyć bogatemu jako obiekt eksperymentu?

Do takich należał swego czasu prof. Neisser we Wrocławiu, który w swej klinice położniczej **szczepił setkom i tysiącom kobiet choroby weneryczne** i inne w celach eksperymentu. Fakty te i jego cynizm narobiły wówczas ogromnej wrzawy w Niemczech i po za granicami Rzeszy. Były procesy karne przeciw Neisserowi, których przebiegu nie obserwowałem do końca.

Podobne etyczne pojęcia miał w znacznym stopniu i Virchow, słynny anatom i twórca celularnej patologii, wybitny uczony w swej dziedzinie, choć ciasna głowa.

Wniosek więc, że im większa kultura, tym większa kontrola, ale i więcej krytyki, więcej też lekarskich procesów. Nie znaczy to jednak, że tym więcej szantażystów! Kontrola jest potrzebna. Przypomnijmy sobie choćby, co się dzieje w zakładach dla obłąkanych. Zdarza się przecież, że nawet zdrowych pakują do takich zakładów... są one wtedy narzędziem zbrodni. We wszystkich też państwach wołają o reformę w tej dziedzinie.

Jakie rzeczy się nieraz i u naszych lekarzy wydarzają i nigdy nie zostały zaskarżone, o tym może później, innym razem.

Bir.

# Sir Henry Deterding

## Kulisy finansowania środków finansowych dla Niemiec

W ostatnich dniach ubiegłego roku, obiegła prasę światową sensacyjna wiadomość, że „król" naftowy Sir Harry Deterding, zaofiarował Niemcom, dotkliwie odczuwającym brak środków żywności sfinansowanie zakupu w Holandii i to do znacznej bądź co bądź sumy 10 mil. hol. florenów.

Pod egidą Sir Deterdinga i z jego inicjatywy utworzoną została w Holandii specjalna nawet organizacja handlowa pod f. „De Waag" waga, pod kierownictwem inż. B. Wiggersma, funkcjonariusza istniejącej w Holandii partii nacjonalistyczno-narodowej. Zadaniem tejże będzie dokonywanie zakupów w Holandii i kontrola transportów.

Wobec tego, że istnieje między Holandią a Rzeszą układ clearingowy, tranzakcja, dokonać się mająca przez Sir Deterdinga, nie będzie objęta tą umową rozliczeniową, tak, że Niemcy nie będą miały prawnego obowiązku przekazywania ceny kupna tych produktów na ten rachunek.

Interes Sir Deterdinga za tym przedstawiałby się jako... prezent, uczyniony Niemcom w wysokości 10 mil. guld. hol., które ze swej strony zapłacić będzie musiał producentom holenderskim i to w gotowiźnie.

Jako przedmioty eksportu wchodzić mają w rachubę bydło rzeźne i... jarzyny, których sami Niemcy mają w ilości, przekraczającej ich własne, wewnętrzne zapotrzebowanie. Świadczy o tym chociażby moment, że w ciągu ostatnich kampanii propagandowych, dokonywanych przez czołowych przywódców partyjnych w Rzeszy w kierunku zastąpienia żywności mięsnej produktami jarskimi i rybnymi, kilkakrotnie zwracano uwagę licznym, zazwyczaj w takich wypadkach słuchaczom, na domiar istniejących w Rzeszy jarzyn, które w niczym nie ustępują, o ile chodzi o siłę odżywczą żywności mięsnej, zwłaszcza zaś tłuszczom.

Ten wspaniałomyślny, jakby się zdawało gest Sir Deterdinga, wywołał w sferach, znających całe dotychczasowe życie tego nie koronowanego króla naftowego, conajmniej zdziwienie.

Poczęto doszukiwać się przyczyn tej wspaniałomyślności i doszukano się jej po części w anti-sowieckim nastawieniu Deterdinga, spowodowanym, broń Boże, nie jego „burżujską" mentalnością, ale... unieważnieniem przez Z. S. R. R. jego złotodajnych koncesji, które posiadał na terenie Rosji carskiej, oraz rozbiciem się kilkoletnich rokowań, jakie następnie prowadził z rządem sowieckim w w przedmiocie „ujednostajnienia" polityki naftowej...

W konflikcie tym, (podobnie rzecz się miała z Kruegerem, i jego konfliktem z Z. S. R. R. w dziedzinie zapałczanej) wyszedł zwycięsko rząd Sowietów... Deterding jednak nie mógł klęski tej puścić w niepamięć i stąd wywodzi się też jego anti-bolszewizm... i tym tłumaczą „sfery wtajemniczone" motywy, ogłoszone przez Deterdinga w prospekcie, wydanym z okazji założenia firmy „De Waag", że akcja jego wyjść ma na korzyść Państwa, zwalczającego bolszewizm...

W tym samym jednak prospekcie czytać można na końcu, że ta właśnie akcja, służyć winna współpracy krajów zachodnio-europejskich... „z wykluczeniem polityki i partii politycznych".

Poza tym doszukano się jeszcze realniejszej przyczyny tej wspaniałomyślności...

Sir Henry Deterding jest właścicielem latyfundiów w Niemczech, w Meklenburgii. Z tytułu tych własności i związanych z własnością tą tranzakcjami, winien jest podobno Rzeszy znaczne sumy, któreby w ten sposób uległy umorzeniu, zanim jeszcze wkroczyłby Rząd niemiecki..

Wobec istniejących przeto ograniczeń dewizowych w Niemczech, równowartość eksportu z Holandii wpłaconą zostanie niewątpliwie na jakieś specjalne, nowo nazwać się mające konto — może dostaniemy specjalne „Deterding-Mark", którymi Sir Deterding spłaci następnie swe zobowiązania wobec Skarbu Rzeszy.

Tak wygląda w rzeczywistości „szlachetny" gest Sir Henry'ego Deterding, który chyba sam uśmiać się musiał, gdy posądzono go... o wspaniałomyślność.

**Od wydawnictwa**

**Z dniem 1 stycznia 1937 r. Redakcja i Administracja „Wiem Wszystko" została przeniesiona do nowego lokalu przy ul. Poznańskiej 38, m. 15 tel. 716-09**

# Szczenięce tygodnie

## Jak powstało i rozwijało się WIEM WSZYSTKO

*Okrągły rok istnienia wydawnictwa tygodniowego, nie opartego o odpowiednio pokaźne kapitały, subwencje, czy tylko „wpływy" partii, bądź możnych tego świata, rok mozolnej walki o kolportaż, prenumeratę czy chociażby jedno ogłoszenie do numeru, a przy tym wszystkim idealnie regularne wydawanie każdego numeru, skłoniły nas do zwrócenia się do założyciela tygodnika „WIEM WSZYSTKO" i jego długotrwałego kierownika p. Włodzimierza Popławskiego z prośbą, aby podzielił się z naszymi Czytelnikami wspomnieniami, jakże bardzo wymownie ilustrującymi najtrudniejsze okresy walki o utrzymanie na powierzchni młodego, a z tyłu przeszkodami borykającego się wydawnictwa.*

**Redakcja.**

Mam pisać o tym jak powstało i jak wegetowało „Wiem Wszystko" na przestrzeni minionego roku istnienia.

Bardzo mikroskopijny to okres czasu, jeśli czasem go tylko mierzyć, olbrzymi, jeśli dzisiaj, z perspektywy tego właśnie roku spojrzę na wszystkie trudności, wszystkie przeszkody z jakimi „Wiem Wszystko" uporczywie, a przecież zwycięsko walczyło.

Ponieważ obecna Redakcja zaakceptowała tylko szczerą relację, będę pisał wyjątkowo szczerze, nie baczny na to czy sprawię „przyjaciołom" „Wiem Wszystko" radość czy raczej wprowadzę ich w nastrój, który dopomoże **do ukucia jeszcze jednego oszczerstwa pod adresem pisma tak bardzo nielubianego**, a jednocześnie tak bardzo zuchwałego.

W styczniu 1936 roku wydałem I-szy numer tygodnika „Wiem Wszystko". Kapitał zakładowy „wydawnictwa" wynosił... 900 zł., a „personel redakcyjno - administracyjny" składał się z niżej podpisanego i pewnego melancholijnego Żyda, który z iście nieżydowską bezinteresownością sprawował funkcje sekretarza redakcji, maszynistki, akwizytora, inkasenta ,falsowacza i kolportera.

Trzy pierwsze numery, ukazujące się nota bene regularnie co piątek rano, drukowane były w warunkach technicznych pierwotnych nawet dla Kresów Wschodnich. Dalsze, powstawały w klimacie... podbiegunowym, jeśli zważy się, że temperatura w ogromnej hali fabrycznej, gdzie sterczały kaszty drukarskie, była identyczna z temperaturą panującą na dworze. Działo się to w okresie strajku drukarskiego, kiedy 99 proc. wydawnictw stołecznych, nawet codziennych ukazywało się nieregularnie.

**Numer „Wiem Wszystko" co piątek rano był na mieście.**

Co piątek rano chwytano go z niepokojem, a jednocześnie z zainteresowaniem, abstrahując bowiem od tego, czy dziennikarsko zawierał materiał bardziej ciekawy czy mniej ciekawy, to przecież poruszał sprawy, o których dotychczas mówiono co najwyżej półgębkiem w kawiarniach i... gabinetach kierowników administracyjnych poszczególnych pism, sprawnie i „bezinteresownie" tamże likwidując to wszystko, co właśnie ludziom powinno być pokazane.

Tymczasem „Wiem Wszystko postawiło sobie za zadanie bezkompromisowo demaskować każdy brud, każdą aferę, każde świństwo czy chociażby tylko głupstwo, pleniące się na zdrowym organiźmie społeczeństwa. Demaskować bezwzględnie, nie oglądając się ani na groźby, ani „brzęczące" prośby. Może ten i ów, podobnie, jak jeden z dygnitarzy stołecznych, zapytać: „A któż pańskiemu pismu dał mandat do takiej pracy?".

Mandatem była dla mnie największa wiara, że to co robię, jest robotą **pozytywną dla kraju**. Zwracano mi coprawda uwagę, że pokazuję tylko negatywne strony życia polskiego, że babrzę się w świństwie i łajdactwie, nieraz drobnym i mało istotnym dla naszej rzeczywistości. Puszczałem te uwagi mimo uszu, wiedząc, że są to poprostu usiłowania odciągnięcia mnie od roboty, która dla wielu ludzi stała się niewygodna. I gdy oto, godząc się do pewnego stopnia z faktem omawiania na łamach „Wiem Wszystko" błahych świństewek, **sięgnęłem po bardziej istotne, większe... spadła pierwsza konfiskata** i to odrazu za... cztery artykuły umieszczone w nr. 6 W. W. z dnia 1 marca 1936 r.

Dalsze konfiskaty nadchodziły w mniej więcej regularnych odstępach, przyczym na przestrzeni roku było ich tylko... 8, co jak na 50 wydanych w 1936 r. numerów stanowi wcale niezgorszy procent. Nie zamierzam jednak chociażby w najmniejszym stopniu winować za te, dotkliwe dla pisma cięgi, cenzury. W większości wypadków na takie czy inne ustosunkowanie się do aktualnego numeru „Wiem Wszystko" składały się **wpływy znacznie potężniejsze** od tych, którymi rozporządza Wydział Prasowy Komisariatu Rządu m. st. Warszawy.

Równocześnie z pierwszą konfiskatą, padły pierwsze strzały z za płotu. Z początku nieśmiało, cichcem, po tym coraz głośniej, ale zawsze z za plecyma zaczęto lansować dwie wersje: jedna mówiła o „metodach" „Wiem Wszystko", druga o „źródłach" tygodnik ten finansujących. Były to zarzuty tak plugawe i tak specyficzne dla warszawskich stosuneczków, że można je było co najwyżej kwitować — wzruszeniem ramion, już chociażby dlatego, że jak wspomniałem, żaden z „rewelatorów" nie wystąpił otwarcie, nie podał konkretnych faktów. Ograniczano się do wytwarzania „atmosfery", **smrodliwego „klimaciku", który w konsekwencji miał udusić „Wiem Wszystko".**

Ta metoda nie udała się, podobnie jak spaliły na panewce wersje o subsydiowaniu „Wiem Wszystko" przez... rząd premiera Kościałkowskiego, przez Wydział Bezpieczeństwa, przez Ambasadę Niemiecką, przez Ambasadę Sowiecką, przez Oddział II-gi, czy M.S.Z.

Niestety, „Wiem Wszystko" od pierwszego dnia istnienia, aż do chwili mego ustąpienia i dzisiaj również, **z żadnych subwencyj czy doraźnych zapomóg nie korzystało.** Ba, ale fakt ten był absolutnie niezrozumiały, zwłaszcza dla tych wszystkich, których nazwiska bądź nazwy uwieczniły dochodzenia w sprawach Elektrowni warszawskiej, Agrila, kartelu cementowego, Związku Wędliniarzy, Rzeźni Miejskiej czy innych instytucyj. Ci właśnie ludzie, oczywiście **nieskończenie etyczni wyżsi od redaktorów czy wydawców „rewolwerowo - szantażowego brukowca"**, zuchwale wdzierającego się za kulisy każdej podłości i każdego draństwa polskiego, urabiali pismu „opinię", z godziny na godzinę czekając... Berezy dla redaktora i plajty dla wydawcy.

Mijał tymczasem tydzień za tygodniem. „Wiem Wszystko", chociaż łaskawie kolportowane przez „Ruch", kolportażowo walczyło z wielkimi trudnościami, zyskując sobie za to nieomal co dnia nowych prenumeratorów zdobywając z iście syzyfowym wysiłkiem ogłoszenia czy wzmianki reklamowe. Życzliwe ustosunkowanie się do pisma ludzi dobrej woli, słowa zachęty, których nam nie żałowano, a także i porcje najohydniejszych zarzutów zawsze anonimowych, **były tym dopingiem, który nie pozwalał rezygnować czy chociażby odpoczywać,** który kazał trwać, chociażby jeszcze trudniej, jeszcze ciężej było.

Okrągły rok istnienia wydawnictwa

Nie będę tu wymieniał wszystkich istotnych sukcesów „Wiem Wszystko". Zrobił to po półrocznym istnieniu jeden z kolegów, w międzyczasie rozbudowanej już nieco redakcji. Rejestr ten w miarę możności po tym uzupełnialiśmy każdym nowym zwycięstwem, gwoli reklamie, a także zaakcentowaniu, że chociaż spychani przez „życzliwych przyjaciół" do najpodlejszej roli, nie rezygnujemy, idziemy naprzód, w **nieustającej walce ze złem.**

I tak oto uzbierało się kilkadziesiąt numerów, ulepionych z ciężkiej, nie zawsze wogóle opłacanej, a bardzo często źle płaconej pracy.

Na przestrzeni tych bezmała pięćdziesięciu zeszytów, w iście syzyfowym wysiłku zrodzonych przez imponująco życzliwych ludzi, z którymi danym mi było pracować, redagując tygodnik „Wiem Wszystko", myślę, że zrobiłem trochę dobrego, upewniają mnie w tym przeświadczeniu **zdania ludzi szczerych i uczciwych.** Nie ustrzegłem się jednakże od złego.

Kiedy mam szczerze mówić o pierwszym roku istnienia „Wiem Wszytsko", muszę również szczerze przyznać się do swych fałszywych kroków. Zrodził je może nie tyle brak doświadczenia życiowego, ile zbytnia łatwowierność dla... kanalii przyodzianej w dostojną szatę.

Wślizgiwała się ta kanalia do redakcji, poprzedzana nimbem uczciwego, zasłużonego a pokrzywdzonego człowieka. Czasami legitymowała się wysokim, godnym stanowiskiem w społeczeństwie, **czasami pierś zdobiła krzyżem legionowym czy peowiackim lub orderowymi wstążeczkami.** Wierzyłem wówczas tym, dla mnie do niedawna świętym dokumentom. Oszukały mnie wiele razy, sprowokowały do wielu krzywd, które mimo woli Bogu ducha winnym ludziom wyrządziłem. Biję się w piersi!

A jeśli już w hucznym karnawale decyduję się głowę popiołem posypywać, to nie od rzeczy będzie przyznać się, że krzywdy moje o tyle boleśniej dzisiaj odczuwam, że w niektórych wypadkach spadały one na ludzi, **może jeszcze goręcej ode mnie Polskę miłujących,** a tylko innymi drogami do jej wielkości dążących.

Od kilku tygodni redakcja „Wiem Wszystko" spoczywa w innych rękach i chociaż mam do tych rąk pełne zaufanie, to przecież nie bardzo wierzę aby wybudowały one dla siebie... burżujską egzystencję. Nie zbaczając z drogi, którą szło od początku swego istnienia, „Wiem Wszystko" **nie stanie się zalążkiem potężnego koncernu prasowego,** który, jak doświadczenie i przykłady uczą, w naszych warunkach rośnie nie na uczciwej robocie dziennikarsko - publicystycznej, a na... kompromisach, koncesjach i kanalii. Dla nich w „Wiem Wszystko" miejsca nie było i wierzę głęboko, że nie będzie.

Być może, że sprawiłem Czytelnikom zawód, być może, że spodziewali się interesującej gawędy o tym, jak zdobywałem dla „Wiem Wszystko" materiał, jakimi drogami trafiałem do tych rewelacyj, które niewątpliwie znacznie łatwiej mogły zdobywać zasobne w ludzi i pieniądze „poważne" wydawnictwa, jak broniłem swych materiałów czy to przed czerwonym ołówkiem cenzora czy przed... strefą wpływów wysoko postawionych osobistości, jak wreszcie sam musiałem bronić się przed kuszącymi propozycjami „tusowań". Byłaby to niewątpliwie **opowieść ciekawsza, ale... mniej cenzuralna,** więc rad nie rad—rezygnuję z niej.

**Włodzimierz Popławski.**

# Miliardy na uzbrojenie

## wydają wszystkie państwa

Zamieszczone niżej cyfry uwidoczniają najdobitniej panujący obecnie, a raczej od szeregu już lat wyścig zbrojeń poszczególnych państw.

Dane te opierają się na oficjalnych źródłach i podane są w milionach jednostek walutowych każdego państwa.

nych, dotyczących Niemiec, które nie ujawniły dotąd wydatków na armię i uzbrojenie, ani za rok 1935, ani też za rok 1936.

W cyfrach przytoczonych nie zostały również uwzględnione wydatki nadzwyczajne, ani też, specjalnie na cele zbrojeniowe zaciągnięte już przez poszczególne Państwa, pożyczki wewnętrzne lub zagraniczne.

| | 1933 r | 1934 r. | 1935 r. | 1936 r |
|---|---|---|---|---|
| Związek Sowieckich R. R. | 1.574 | 1.665 | 6.500 | 14.816 |
| Francja | 13.634 | 12.066 | 12.040 | 15.718 |
| Stany Zjedn. A. P. | 523 | 703 | 884 | 939 |
| Wielka Brytania (milj. Ł.) | 108 | 124 | 124 | 158 |
| Niemcy | 743 | 1.105 | —— | —— |
| Italia | 4.730 | 4.469 | 4.646 | 4.937 |
| Japonia | 852 | 938 | 1.023 | 1.060 |
| POLSKA | 776 | 787 | 774 | 774 |
| Czechosłowacja | 1.716 | 1.979 | 1.819 | 1.881 |
| Holandia | 81 | 81 | 82 | 88 |
| Rumunia | 4.680 | 5.294 | 6.764 | 7.512 |
| Jugosławia | 1.943 | 1.943 | 2.000 | 2.309 |
| Belgia | 948 | 1.271 | 1.138 | 1.441 |
| Szwajcaria | 91 | 92 | 95 | 98 |
| Austria | 86 | 105 | 116 | 126 |

Z uwagi na to, że, jak to na wstępie zaznaczyliśmy, cyfry podane są wedle źródeł oficjalnych, brak da-

**An.**

STANISŁAW TARGOWSKI

# Dusze bez paszportu

Źle było na obczyźnie Władkowi Kopciowi, parobkowi gospodarskiemu ze wsi Dusznica koło Mińska Litewskiego. Chciało się do swoich, do kraju. Ano, wreszcie się zbuntował pewnego dnia, opuścił gospodarza i śmignął przez pola, i lasy, i zieloną granicę do Polski. Tułał się po wioskach przez kilka tygodni, przepytywał się o pracę u gospodarzy, ale jakoś nic mu się nie trafiało. Do większych folwarków nie zachodził; nie chciał się najmować do obywatela na dużym majątku, odwykł od „panów”, więc szukał roboty w zagrodach, gdzie chciał za swoją pracę i starania zarobić dobre traktowanie i trochę ciepła chłopskiej chałupy. Wiedział, że pracę swoją zna dobrze, i że gospodarz będzie z niego zadowolony. A to najważniejsze. Reszta sama przychodzi. Parobek dobry i robotny — toć pierwsza osoba w chłopskiej zagrodzie. I rzeczywiście: wychodził sobie takie miejsce. Było to niedaleko od Równego. Gospodarstwo spore, chudoby w oborze dość, że na pokaz, gospodarz zasie leciwy, a gospodyni zapracowanana po łokcie przy obejściu i przy sadzie. Jakoś nie mogli długi czas natrafić na dobrego pomocnika; przewinęło się też przez zagrodę wielu, ale żaden nie przypadł do gustu. Zwyczajnie, takie ladajakie coś, co to pustotę ma w głowie, a do roboty nie skore.

Gdy więc Władek Kopeć zaszedł pod wieczór do chałupy, pochwalił Pana Boga i zapytał się o pracę, usłyszał wnet odsarknięcie i niechętne powitanie.

Nie zraził się jednak tak łatwo. Był setnie zmęczony. Odwalił tego popołudnia spory szmat drogi. Przysiadł więc na skraju ławy i pokornie spoglądał na izbę i na właścicieli.

Właśnie gospodyni w dużym szafliku zasypywała otrębami „picie” dla dojnych krów, by mleka więcej dawały. Gdy było gotowe, Władek poderwał się z ławy, chwycił za koromysło oparte o ścianę izby, podczepił z obydwóch stron szafliki i raźno wyrwał z chałupy na podwórze. Poszło mu gracko.. Gospodyni musiała biec w dyrdy, by nadążyć za parobkiem, który mocno stąpał, kolebiąc się raz w prawo, raz w lewo dla utrzymania równowagi. Doszli tak do krowiarni. Postawił ostrożnie, acz sprawnie, szafliki na klepisku obory, odłożył koromysło i gotów nakarmić krowy, byle by wiedział, które dostają. Gospodyni aż się rozjaśniła na taką sprawność: boć to od niepamiętnych czasów nie zdarzyło jej się, by ją ktoś wyręczył w tej pracy, a przecież nie była to robota lekka: ciężkie to, a szkoda rozlać po drodze, zasie koromysła gięły jej spracowane plecy aż do ziemi, że osuwała się pod ich ciężarem i raczej sunęła, powłócząc nożyskami, aniżeli kroczyła...

Po drodze z obory do chałupy Władek zajrzał do koni. Cóż to: stoi para w chomątach, choć żre śrutowinę z sieczką i siano zadziane za drabki. Więc przytroczył uprząż, gdzie należy, zdjął ją i powiesił składnie na kołkach sterczących z powały. Przesunął dłonią po grzbietach, podrzucił z boków słomy na środek, gdzie stały szkapy, by miały na czym lec w nocy, i poszedł z powrotem do izby.

Właśnie szykowano do wieczerzy. Gospodarz wyszedł akurat z chałupy. Władek siadł na ławie i czekał. A głodny był, że strach.

Od kuchni zasie szedł smakowity zapach przysmażonych skwarków, że aże go mdliło na podołku, kartofle cedziła dziewczyna, a gospodyni szykowała żur i doprawiała go mąką, jak się patrzy.

Gospodarz wrócił wnet do izby, spojrzał łaskawym okiem w stronę Władka i, gdy gospodyni podała wieczerzę, kazał mu się zbliżyć do stołu i pospólnie spożywać dary Boże: „Co Pan Jezus dał, boć to i u nas nie bogato!” — jakby się tłumaczył, a grzbietem ręki spracowanej wycierał pożółkłe wąsiska, jąwszy się łyżki drewnianej i czerpiąc pierwszy z ogólnej misy, zwyczajnie jak przynależy gospodarzowi.

Gospodyni podsunęła Władkowi parę razy większą sperkę na kartoflach, tłumacząc tę swoją uwagę gościnną, że to musi być zdrożony i szmat drogi przebył, a przecież tłomoczka ze strawą przy nim nie widziała.

No i Władek pozostał. Gospodarze, jakby odżyli: takiego robotnego parobka to i w dalekiej okolicy nie znajdzie. — „Na swoim i to tak nie harują!” — Gadali jedno przez drugie, nie krępując się nawet pochwałę mu w oczy mówić. Władek nie lubił jednak, gdy go chwalono, bał się kpin, boć on uważał robotę za wielką przyjemność, nade wszystko, gdy czuł, że nie idzie na darmo, że z niej coś jest realnego. Sypiał przy koniach, na skrzyni z obrokiem, miał tam wymoszczony mat, kocem się przykrywał, a pod głowę kładł kożuch i, byle tylko głowę przyłożył, już spał... Ale czujny był, jakby pies. Zwyczajnie, jak przystało na tego, którego wszystko w obejściu obchodzi. Konie zaś już po dwóch tygodniach poprawiły się o tyle, że im boki się zaokrągliły, sierść połyskiwała, a łbami odwracały w stronę nowego parobka, by tylko gdzieś w pobliżu zasłyszały jego głos.

A i Władek czuł się dobrze. To, o czem marzył od kilku lat na obczyźnie, osiągnął w całej pełni i uważał się za zupełnie zadowolonego ze swojego losu.

Aliści niezawsze człowiek bywa kowalem swojego szczęścia. Po kilku miesiącach przyszedł nakaz od pana starosty do urzędu gminnego, aby sporządzić nowy wykaz mężczyzn w wieku rezerwistów. Sołtysi winni takie spisy przeprowadzić w siołach, następnie zaś do wyznaczonego terminu złożyć je wójtowi. Kolej doszła i do Władka.

— Gdzie masz, chłopie, paśport?

— Jaki paśport? — pyta się niespokojnie parobek.

— No, świadectwo chrztu św., albo książeczkę wojskową?

— Jezu, a skądże ja to mogę mieć?

— Jakto, skąd? Ze swojej gminy, albo parafii? Przecieżeś krzczony?

— Juści żem krzczony, ale nijakiego dokumentu nimam!

— To źle, chłopie! — zawyrokowali sołtys i pokiwali nad Władkiem głową, jakby się już z góry litowali jego doli, co go czekała w niedługi czas.

— No jakże tak można żyć bez nijakich papierów urzędowych! Kto to widział! Przecież porządek musi być!

Sołtys opowiedział o tym wójtowi. Wójt jak to wójt, wiadomo: gospodarz gminy, o wszystkim i o wszystkich musi pewną wiadomość mieć. Wezwał do siebie urzędowo Władka.

Gdy dostał wezwanie z gminy, parobczak turbował się srodze. Gospodarze zasmucili się z początku, gdy im do chałupy stójka przyniósł wezwanie. Sądzili, że to o jakieś podatki, albo sekwestr chodziło. Ale gdy rzecz się wyjaśniła, gospodyni jęła wydziwiać na wójta, że to perturbacje popróżnicy czyni i odrywa parbka od pilnej roboty, zasie gospodarz całe popołudnie siedział w medytacji na przyźbie, a po wieczerzy rzekł do żony:

— Narychtuj nam matko cosik na drogę, a i dla wójciny tego złotego kogutka, co to od tej kokoszki dziobatej, a i kiełbasy kilka łokci. Do dnia jadziemy do gminy.

I pojechali nazajutrz. Parobek nie mówił w drodze nic, jeno wzdychał ciężko, jakby przeczuwał, że mu się szykuje ciężka w życiu przeprawa, zaś gospodarz pykał z fajeczki i podśmiechiwał sobie z Władka, dufny, że wójt — jego dobry znajomek, a nawet i kum, pójdzie mu na rękę i obroni chłopaka, co taką wyręką w gospodarstwie.

Rzeczywiście. Udało się. Gospodarz wstąpił po drodze we wsi do sklepu, kupił litr wódki. Przepili sobie z wójtem godnie, wójcina zasie była niezgorzej kontenta z prezentów, więc ku wieczorowi wracali w dobrych humorach do domu. Gospodarz zaraz za wsią uwalił się na wóz, Władek nakrył go derą i wkrótce stary zasnął, ukołysany jednostajnym ruchem wozu i wódką, sam zaś puścił konie lekkim truchcikiem, i śmiał się w duszy z radości, że mu tak gładko poszło. Po co ludziom te dokumenta? Czy jemu są do czego potrzebne? Żyje bez nich dobrze, pracuje też akuratnie, na co komu się zdadzą?! Nie mógł nijak wyrozumieć, co z nich za korzyść i dla kogo. Żeby ukradł, albo zabił kogo, to przecież i bez dokumentów dostałby się do kryminału.

W poświacie księżycowej jechali wolno koleiną, szkapy podrzucały równo i jednostajnie zadami, osie świeżo nasmarowane toczyły się bez hałasu, a droga, jak po stole... Z dziesięć, a może i więcej razy powtórzył sobie w pamięci zasłyszane rozmowy w świetlicy wójtowej, słyszał jakby teraz mówili ze sobą, szczególniej dobrze mu się wydaje krzykliwy głos wójciny, która nie dawała im spokoju, a precz wywodziła i parę razy nawet poklepała Władka po ramieniu, że to słyszała o nim, iż dobry parobek.

„He, he, he, nie dziwota: takie gospodarze, jak jego, to i starać się składnie i robota sama idzie z ręki, nawet nie czuje takiego zmęczenia. Strawa dobra, marnego słowa nie usłyszy, to i czegóż ma być niedobry. Przecież, gdyby mu było źle, poszedłby precz i szukałby innego obowiązku”.

Na takim rozmyślaniu minął szmat drogi, aż konie jęły przystawać, że musiał je popędzać, ale tak, jakby muchę oganiał, nie lubił zasie smagać szkapy batem, przecież to żyjące stworzenie i litość na nim trzeba mieć. Ale i szkapy były ambitne, gospodarskie przecież, znały się na takim traktowaniu, wydobyły więc z siebie nieco sił i pobiegły szparko, trzęsąc i kiwając jeno łbami, parskając ochoczo, jakby parobkowi chciały odkrzyknąć: „Możesz być spokojny, dociągniemy cię do chałupy, śpij, śpij”.

Istotnie Władek zasnął, kiwając nosem, jak żyd modlący w szabes.

Minęło tak znów kilkanaście tygodni. Był spokój zupełny.

Którejś jednak niedzieli zjechał sam wójt. Niby to zamówił się po drodze z sąsiedniej parafii, dokąd jeździł po sąsiedzku do księdza plebana, który odeń kupił jeszcze latoś kawał lasu.

I padło teraz na Władka, jak grom z jasnego nieba. Nie ma co robić. Musi odejść, bo bez dokumentów nijak nie może służyć dłużej i przebywać w gminie. Wójt ma nakaz wyraźny od policji z powiatowego miasta. Gospodarze zmartwili się srodze. Radośni z początku wizycie tak godnego gościa, zaraz się zasromali i siedzieli zważeni i z ciężką wątrobą, zapominając nawet prawideł zwykłej gościnności. Widząc taki smutek i żałobę prawie, zlitował się wójt i sam doradził, by Kopeć pojechał od stolicy, a tam, mówią, są „takie ludzie, co to wykombinują za pieniądze dokument”, a wtedy niechże sobie wraca i w spokoju żyje, będą mu tu radzi, bo sobie widocznie zasłużył na takie serca gospodarskiego miłowanie.

— „Przeciem człek bywały i rozumiem, co dziś dla gospodarza takiego, jak wy, kumie, dobry parobek, tym bardziej żeści syna własnego pochowali i nie macie należytej wyręki z rodzonych dzieci”.

Droga bez paszportu Stan. 4

Wójt pojechał wkrótce do domu. A trzeciego dnia, gdy skończyła się zwózka kartofli i kapusty. Władek wziął rozliczenie, było tego z osiemdziesiąt złotych i jeszcze tam trochę drobiazgów, w kobiałkę dała mu gospodyni kilka krążków, kiełbasy, osełkę masła, jaj pół kopy gotowanych, serów dwa, a w chustkę uwiązała bochen chleba.

Gospodarz z gospodynią stanęli na podwórku, a on im do nóg się pokłonił, dziękował za dobre słowo, stary go uściskał i w głowę pocałował, zaś gospodyni Krzyżem Świętym żegnała:

— „A jak będziesz miał dokument, to zaraz wracaj, będziem na ciebie czekali. Pamiętaj!”

I poszedł do stolicy po paśport, albo inny dokument, by mógł dalej spokojnie żyć i pracować.

Po trzech dniach dotarł do Warszawy. Znalazł się na Dworcu Wschodnim. Pierwszy raz w tak wielkim mieście. Próbował wyjść z dworca, ale uszedł parę staj i cofnął się z powrotem: zawsze mu tu w sali raźniej między ludźmi. Poszedł wreszcie, zląkł się bowiem policjanta, który chodził sobie po sali i ciągle mu się przyglądał. „Czyżby już wiedział, że przyjechał bez dokumnetów?”

— „Rany Jezusa” — pomyślał — trza stąd iść!

I poszedł.

Nie uszedł jednak daleko, kiedy natknął się na dobrych ludzi. Właśnie zatrzymał się na rogu kilku ulic, chciał przejść no drugą stronę, bo tak mu się widziała jego droga, ale nie wiedział, jak to zrobić: tramwaje, samojazdy, wozy walą przez ulicę, więc ważył się w sobie i zbierał na odwagę. No i tu nastąpiło poznanie. Poszli do jakiegoś pięknego ogrodu. Usiedli sobie na ławce, jakby na cmentarzu, i jakoś mu się dobrze zrobiło. Znów drzewa, łąki zielone, pięknie porosłe trawą soczystą. Dopiero to musi być z nich smaczne siano Pierwszy raz jest w takiej kompanii. A i ludzi etrofilisię godni. Grzeczni. Poczęstowali go papierosem, zakurzył, choć nie palił. Ale nie chciał odmówić, by ich nie urazić. Nie musiały być wsiowe, bo się inaczej wyrażali, mowę mieli miastową, ale za to śmieli się i wesołe rzeczy mówili. Nabrał do nich zaufania, a że był głodny więc sięgnął do kobiałki, wyjął zapasy, co mu jego gospodyni naszykowała. Podjedli sobie dobrze później znów zapalili papierosa, a on im opowiedział o swoim zmartwieniu. Że niby jest bez dokumentów, a wójt mówił, że w stolicy są „takie dobre ludzie, co to za pieniądze wyrychtują paśport”.

— Dobrześ poradził, brachu, ten wójt. A jakże, za pieniądze to u nas wszystko dostaniesz!

*Ciąg dalszy w następnym numerze.*

## Tydzień ubiegły

Hucznie, niebywale hucznie przyjmowano Nowy Rok. Od niepamiętnych już czasów nie widziano takiego przepełnienia wszystkich lokali rozrywkowych.

Pod hasłem „będzie lepiej" Warszawa szalała beztrosko.

Tymczasem, choć są pewne jaskółki poprawy gospodarczej, choć jednomyślnie parlament francuski przyznał pożyczkę dla Polski, to światowa sytuacja polityczna nie wykazuje żadnych oznak polepszenia.

Punktualnie o północy, w noc Sylwestrową, na nieszczęsny Madryt spadło dwanaście pocisków powstańczych, dając do zrozumienia, że wojna domowa na tym odcinku, wojna, grożąca w każdej chwili ogarnięciem całej Europy, przeciągnęła się już na drugi, nowy rok...

I tak wciąż niepewne położenie zaostrzyło się jeszcze przez zatopienie statku hiszpańskiego przez okręt wojenny niemiecki.

Cóż z tego, że sfery polityczne brytyjskie, a zapewne i innych krajów, są zdania, że jest to wynikiem „kompleksu niższości" u Niemców. Że w przesadnej obawie o nie obniżenie swego prestiżu posuwają się do tego rodzaju aktów zemsty, za zatrzymanie przez „czerwonych" niemieckiego statku.

Dla większości ludzi w świecie będzie rzeczą najzupełniej obojętną, czy zostaną wyrwani z orbity normalnego swego życia i pomaszerują z karabinami w rękach na front, przez niemiecki „kompleks" niższości" czy przez podobnie istotny i ważny „kompleks". Tych wszystkich szarych ludzi interesuje tylko to, co się robi, aby nie dopuścić do tego ogólnego szaleństwa, jakim byłaby nowa ogólnoświatowa zawierucha wojenna.

Europę, zresztą niepokoi nietylko ten wrogi podział na komunę i faszyzm, ale i poważne przemiany na Dalekim Wschodzie. Te nieustanne groźby wojenne w Chinach, Mandżurii, Mongolii czy Turkiestanie.

Europa jest zainteresowana wszędzie. Wszędzie mają „coś" do powiedzenia wielkie mocarstwa. Wszędzie, na każdym terenie ścierają się ich interesy.

Intensywna za tym ekspansja Japonii, która swą potencją działania świadomie czy nieświadomie budzi do życia narody żółte, nie przyczynia się do uspokojenia nastrojów europejskich.

Wojna, która ogarnęłaby swą pożogą starą Europę, przyczyniłaby się nietylko do zupełnego zniszczenia wszystkich krajów, ale zrujnowałaby niewątpliwie całkowicie cywilizację rasy białej.

A żółte niebezpieczeństwo, które przez tyle wieków było fikcją, było tylko bujną wyobraźnią poetów i pisarzy, stałoby się rzeczywistością może tak okrutną, jak najazdy Atylli, czy Dzingis, Chana.

Na tle nadchodzących wydarzeń jaskrawo uwydatnia się też historyczna rola Polski—tej klamry, łączącej Wschód z Zachodem.

Polska, pamiętna swej wiekowej tradycji, nie może poddać się wpływom ani Wschodu ani Zachodu. Nie może ulec ani propagandzie komunistycznej ani faszystowsko - hitlerowskiej.

Z chwilą bowiem wpadnięcia pod jedną z tych sugestii, sugestii niewątpliwie bardzo atrakcyjnych, o kolosalnej dynamice, przekreśla automatycznie swą rolę historyczną i swe dziejowe posłannictwo.

Dobrze jest optymistycznie patrzyć w przyszłość i nie przerażać się byle czym. Dobrze jest jednak i przy najoptymistyczniejszym przypuszczeniom trzeźwo widzieć rzeczywistość i... nie zapominać o niej.

Nie możemy też i nie powinniśmy w szaleństwie sylwestrowym lub wirze zabaw karnawałowych zapominać, że wiele mamy jeszcze do zrobienia, że jeszcze dużo trudów i zachodów nas czeka, aby wreszcie całkowicie rozjaśnił się horyzont tak polityczny jak gospodarczy nad znękaną Europą i Polską.

**Przyjaciel pisma pozyskuje prenumeratorów**

# Czyżby naprawdę?...

...w roku bieżącym miała być urządzona w Polsce wielka wystawa samochodowa? Ciekawe, czym się chcą pochwalić projektodawcy? „Polskimi" Fiatami, „polskimi" Chewroletami i „polskimi" Oplami? Czy przypadkiem nie byłoby to zabawne...

o

...w światku artystycznym stolicy, po premierze filmu „Amerykańska awantura" kursowało powiedzonko, że: „Nakoneczną reklama d o b i j a"? Warto zaznaczyć, że p. Nakoneczna jedna z najbardziej uroczych aktorek sceny polskiej, dała się namówić do przyjęcia tytułowej roli w nowym skandalu filmowym osławionego Rysia Blumenfelda - Ordyńskiego.

o

... istniał jakiś specjalny zakaz, zabraniający wyświetlania w filmowych tygodnikach aktualności zdjęć robionych w Hiszpanii? Wedle posiadanych przez nas informcyj, znane amerykańskie tygodniki aktualności z tego właśnie terenu posiadają wyjątkowo obfity i interesujący materiał.

o

...do urzędu prokuratorskiego wpłynęła skarga przeciwko akwizytorowi jednego z włoskich towarzystw ubezpieczeń, emerytowanemu rotmistrzowi G.? Pan ten znany jest na terenie wszystkich lokali nocnych stolicy, gdzie często wywołuje pijackie burdy.

o

...poza już istniejącymi lokalami dancingowymi, w najbliższej przyszłości miały przybyć stolicy jeszcze.. cztery dodatkowe? Trudno zrozumieć na czym właściwie właściciele tych lokali opierają kalkulację, decydując się na uruchomienie swych przedsiębiorstw w Warszawie, która wedle danych statystycznych jest jedną z najbiedniejszych stolic europejskich.

o

...jeszcze jedna Polka sięgnęła po laury gwiazdy filmowej na horyzoncie wytwórczości amerykańskiej? Jest nią niepowszednio utalentowana artystka baletu Opery warszawskiej Tosia Nowicka, która wróciła przed paru dniami z Londynu, gdzie powierzono jej rolę w filmie brytyjskiej produkcji. Debiut Nowickiej był tak wielkim, podobno, sukcesem polskiej tancerki, że zaproponowano jej wyjazd do Hollywood.

o

...władze zamierzały zająć się bliżej sprawą cudzoziemców zatrudnionych w istniejących w Warszawie wypożyczalniach filmów amerykańskich? M. in. specjalną uwagę zwraca dyrektor biura „Universal" p. Lewy, który do Polski przybył rzekomo z... Kuby, a jest niewątpliwie jedną z najbardziej tajemniczych postaci w „czarnej sotni" filmowej.

# Panowanie bumagi

### coś z codziennego naszego życia

Nie raz już poruszana była na łamach prasy, sprawa nieprawdopodobnego rozpanoszenia w Polsce — „bumagi". Jak dalece „bumaga" wkradła się w nasze życie, jak bardzo omotani jesteśmy najróżniejszymi obowiązującymi u nas, a nieznanymi nigdzie na Zachodzie, dokumentami, paszportami, etc., świadczy o tym wymownie chociażby taki oto przykład.

Jedna z najbardziej pożytecznych instytucyj, godny najwyższego uznania ze strony społeczeństwa Polski Biały Krzyż, organizacja szerząca oświatę wśród wojska, wydał kalendarzyk kieszonkowy na rok 1937. W kalendarzyku tym, na ostatniej stronie, pod tytułem: zapiski osobiste, znajdujemy takie rubryki: nazwisko, imię, adres, a dalej: nr. książeczki oszczędności, nr. legitymacji, nr. ks. Kasy Chorych, nr. Z.U.P.U., nr. dowodu osobistego, nr. książeczki wojskowej... Rany Boskie, wody dajcie mi rodacy!

(z).

# Kuzynek prezesa

## zdefraudował kilkadziesiąt tysięcy złotych

Gdy tak rzucimy snop światła w którykolwiek punkt naszej rzeczywistości wszędzie zobaczymy jakieś cienie starannie chowane, ukrywane pod korcem, aby niczyje oko nie dojrzało tych niejasności.

Spotykamy zwłaszcza te cienie tam, gdzie panuje protekcja, a nie rzeczywista kwalifikacja i wykazywanie się pracą.

Ostatnio naprzykład mamy do zanotowania fakt popełnienia **dużej defraudacji**, wynoszącej kilkadziesiąt tysięcy złotych, w jednym z polskich biur podróży.

Mniej więcej przed dwoma laty, do biura tego **przyjęto niejakiego p. T. A.** Żona tego pana przytem jest **siostrą stryjeczną prezesa jednej z najpoważniejszych instytucyj bankowych** w Polsce.

Nie twierdzimy bynajmniej, aby p. T. A. uzyskał posadę li tylko dla tego, że jego żona jest kuzynką człowieka, z którym wszyscy w Polsce poważnie się liczą. Możemy jednak przypuszczać, że fakt tego pokrewieństwa mocno zaważył na szali: przyjąć na posadę czy nie przyjąć.

Dano za tym p. T. A. **stanowisko kierownika jednego z działów filii** biura podróży mieszczącej się w północnej dzielnicy Warszawy.

Pan ten, mający do czynienia z turystyką zagraniczną, miał widać **wiele wolnej ręki**, skoro przez dwa lata swej zbożnej pracy mógł zdefraudować kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Nadużycie wreszcie wykryto. Czy wpływy potężnego prezesa, a stryjecznego brata p. T. A. zawiodły, czy też pan prezes słusznie umył rece od brudnej sprawy, dość, że **nieszczesny kuzynek bankowego potentata** zasiadł za kratkami.

Nie wiemy, jak sprawa potoczy się dalej. Jaki wynik będzie rozprawy sądowej. I jest to nam obojętne, czy p. T. A. dostanie miesiąc, rok, czy dwa więzienia za popełnione grzechy.

Interesuje nas co innego w tej sprawie. W jaki sposób to biuro podróży odzyska zdefraudowane sumy.

Obojętnym byłby dla nas fakt straty w źle prowadzonym przedsiębiorstwie prywatnym. Nie może jednak dla nas bez znaczenia być fakt, straty poważnej sumy przez instytucję, bądź co bądź, pół państwową.

Wszędzie bowiem, gdzie są **zaangażowane kapitały publiczne**, musi być staranna ich kontrola. Musi być umiejętny i specjalny dobór odpowiednich ludzi.

Za udzielaniem stanowisk w takich instytucjach, nie wystarczającym powodem, jest naszym zdaniem, fakt posiadania żony skuzynowanej **z potentatami finansowymi**, gospodarczymi czy politycznymi.

Przy udzielaniu posad w instytucjach państwowych, czy półpaństwowych muszą być stosowane inne kryteria.

W jednym z poprzednich numerów „Wiem Wszystko", w artykule p. t. „A na trąbce grasz", podawaliśmy **nieprawdopodobne perypetie** człowieka, zasłużonego, mającego duże doświadczenie i chlubne świadectwa pracy i na próżno starającego się otrzymać jakieś stanowisko, właśnie w tym samym biurze podróży.

Nie pomogło temu człowiekowi nawet poparcie P.O.W. Widocznie poparcie organizacyjne nawet **tak zasłużonej organizacji jak P.O.W.**, okazało się niewystarczającym, w porównaniu z poparciem personalnym różnych potentatów.

Człowiek zasłużony pracy w tej instytucji nie dostał.

Dostał ją natomiast człowiek, który w turystyce nie miał nic do powiedzenia. Miał za to **wielki atut w postaci żony** - siostry stryjecznej potężnego prezesa...

W wyniku defraudacja, więzienie, kompromitacja instytucji i rodziny.

Dobrze więc byłoby stosować lepsze metody przy udzielaniu odpowiedzialnych stanowisk. Żądać więcej kwalifikacji, więcej wykazywania się pracą, a mniej stosunkami i pokrewieństwami z wielkimi prezesami.

Instytucji stała się przecież krzywda: krzywda moralna i materialna. Moralnej nikt nie naprawi. A materialnej potężny pan prezes chyba nie pokryje.

**Ten.**

# Arizona jest en vogue

Mile, sympatycznie, prawdziwy klimat dla wytwornej zabawy. Oto walory niedawno zainaugurowanego café - dancingu „ARIZONA" w którym wre szampańskie tempo, jakiego jeszcze na gruncie warszawskim nie doznawano. Styczniowy program otwarcia na czoło którego wysuwają się światowej sławy atrakcje londyńskiego Savoy'u i budapeszteńskiej „Arizony" wywołał sensację w stolicy, budząc szczery zachwyt u bywalców nocnego dancingu zarówno też na five o clockach. Te ostatnie cieszą się coraz większym powodzeniem. Najwytworniejsze koła towarzyskie chętnie umawiają się na popołudniową siestę, zwłaszcza, że całkowity rewelacyjny program nocnego bar - dancingu prezentowany jest na five,ach.

Fred Melodyst na prawdę zrobił z „Arizony" lokal stojący na wysokim poziomie odpowiadający upodobaniom elity towarzyskiej. „Arizona" jest en voguel.

(Nr.).

# Pod światło

Dwudziestoletni führer nielegalnego ONR'u p. Bolesław Piasecki nakładem oficjalnego „organu" tej grupki wydał „Wytyczne narodowo - radykalnej myśli gospodarczej", czytamy tam m. in.

**„Dopóki jest choć jeden bezrobotny — nikt nie ma prawa zarabiać nic więcej ponad minimum utrzymania'..**

A jak kawaler sobie wyobraża to minimum utrzymania? Z dziewczynkami płatnymi czy „ideowymi"? Z kawiorkiem kupnym czy zabranym od parcha — Hirszfelda?

**Stary pies.**

# Dokąd warto, dokąd nie

„LEKKODUCH" (kino Bałtyk). Ginger Rogers i Fred Astaire są niewątpliwie bajecznymi tancerzami. Niech jednak nie śpiewają i nie starają się „grać". Bolesnym jest widok męki tych tancerzy, którym każą być zarazem aktorami i śpiewakami. Zwłaszcza, że oklepane, szablonowe scenariusze ich filmów są robione na „jedno kopyto".

Nudę tego filmu nie ratuje dodana do pomocy starsza para komików. Możliwe, że w Ameryce wywołuje homeryczny śmiech, np. epizod rzucaniem kulą ze śniegu w oko starszej pani. Mam wrażenie, że u nas za taki „dowcip" można się śmiać tylko z mądrości twórców „gagów".

Cała pociecha w tym, że w „Lekkoduchu" Ginger Rogers i Fred Astaire dużo tańczą. I jak tańczą!

Dla ich tańca też można iść do „Bałtyku", naturalnie o ile się dostanie ulgowy bilet.

o

„TAJEMNICA LEKARSKA" (Teatr Kameralny).—Spektakl w podziemiach Galerii Luxemburga jest rozpaczliwie beznadziejną dramą i należałoby wystrzegać go się jak ognia, gdyby nie... gra zespołu. Dawno Adwentowicz, zawsze zresztą pierwszorzędny, nie dał widowni takiego koncertu swego przepysznego talentu. Monolog w drugim obrazie pierwszego aktu jest prawdziwym majstersztykiem. Grywińska, po szeregu ról mniej lub więcej udanych, wraca do swych najlepszych czasów i w grze swej jest tak przekonywująca, że nie sposób jest nie podziwiać jej. Najmniej trafny był Benda, który licho wie dlaczego malarza przemalował na... kabotyna. Bardzo dobry Kwaskowski. Staranna reżyseria, niemożliwie długie przerwy między obrazami. Warto kupić bilet.

„ROMEO I JULIA" (Kino Stylowy). — Bogiem a prawdą mówiąc, nie bardzo rozumiem czym sobie wytłumaczyć zachwyty różnych sztandarowych tuzów, publikowane następnie w reklamach gazetowych tego filmu. Film jest diabelnie konwencjonalny, a chociaż ma szereg scen pierwszorzędnych, chociaż wystawiony jest przepysznie, to... właśnie konwencjonalizm wszystko zabija, odbijając się na grze gwiazd niepośledniej wielkości, poza Normą Sherer, która jest fenomenalna. Nad program niezgorsza kolorówka.

„JEGO ZŁOTA RYBKA" (Kino Rialto). Gdybyście musieli pożyczyć dwa złote, aby kupić bilet do „Rialta", zróbcie to co prędzej. Film jest rzadko dowcipny, czarujący, pełen kapitalnych scen, inteligentnie wyreżyserowany i zagrany przez cały zespół po mistrzowsku. Jest przy tym wszystkim wcale ciekawym dokumentem amerykańskich stosunków, a przede wszystkim obyczajowości. Uzupełnia go wręcz rewelacyjna kolorówka i prymitywnie naiwny dodatek rodzimej produkcji, zatytułowany: „Nasze drogi". Te „drogi", to jedyna czarna plama bieżącego programu w „Raltio".

„SZCZEPKO I TOŃKO" (Kino „Światowid"). — Kto był inicjatorem tego basenu i plagiatów i bzdur, to już pozostanie w mrokach i tak dostatecznie mrocznej „rodzimej" branży filmowej. Skandaliczna reżyseria Waszyńskiego nie zdołała zepsuć naturalnego wdzięku przemiłych filarów „Wesołej lwowskiej fali" — Szczepka i Tońka, którzy z debiutu filmowego wyszli arcy-obronną ręką. Najlepiej zagrał p. Halicz, bo miał najkrótszy i najwłaściwszy epizod. Gdyby tak zawsze...

**Widz.**

# Grzeczny „inkasent"

## wziął pieniądze dla siebie.

Jeden ze współwłaścicieli znanego hotelu warszawskiego, przeglądając stare swoje papiery, znalazł oświadczenie swego przygodnego znajomego z przed 20-lat, że ten jest mu winien dużą sumę, jeszcze w markach.

Przypomniał sobie hotelarz, że ów znajomy jest mu winien jeszcze tę sumę **za przegrane w karty.** Dług ten jako honorowy, winien być mu zapłacony przed przeszło 20 laty. Nie został mu jednak zapłacony, oświadczenie dłużnika zaplątało się w inne papiery i sprawa poszła w zapomnienie.

Będąc w towarzystwie i **grając w karty,** właściciel hotelu ze śmiechem opowiadał swoją przygodę. Akurat, w tym samym towarzystwie był pewien pan, który zamieszkiwał od dłuższego czasu w tym hotelu.

Zainteresował się on żywo całą sprawą. Wraz z właścicielem hotelu **zaczęli dowiadywać się,** co się dzieje obecnie z podpisanym na oświadczeniu dłużnikiem.

Po dłuższych poszukiwaniach ustalili wreszcie, że dłużnik z przed 20 lat zajmuje obecnie **wybitne stanowisko** we Lwowie.

Napisali za tym do niego, załączając odpis dawnego oświadczenia i prosząc o uregulowanie obecnie tej należności.

Dłużnik uprzejmie im odpowiedział, że **nie przypomina sobie,** aby był komu kiedykolwiek winien.

W odpowiedzi **otrzymał fotograficzną odbitkę** swego reskryptu dłużniczego.

Wtedy uznał swe zobowiązanie i zaproponował zryczałtowanie należnej sumy na kwotę 500 złotych.

Właściciel hotelu zatarł z radości ręce. Wcale **nie zła sumka** spadła mu, jak z nieba.

Współtowarzysz jednak poszukiwań zaoponował przeciw tak taniej, jego zdaniem, tranzakcji.

Ze swej strony też. zaproponował, że pojedzie do Lwowa i, jako rekompensatę za jego starania, otrzyma to, co dostanie ponad 500 złotych.

Właściciel hotelu nie protestował, dał mu **na drogę pieniądze** i czekał spokojnie na swą należność.

Minęło jednak dobrych kilka dni, a tymczasem „inkasent" nie wraca.

Mimo tego jest jeszcze dobrej myśli. Przeraził się jednak nie na żarty, gdy portier hotelowy doniósł mu, że ten pan **dzwonił o 3 rano** z wiadomością o przekazaniu pieniędzy pocztą. Telefon przytym był nie ze Lwowa, lecz .z Warszawy.

Ponieważ grzeczny „inkasent" nie zjawił się zarazem w hotelu, w którym dotychczas mieszkał, można było wysnuć **pewne przypuszczenie,** że piękną sumkę, spadłą, jak z nieba, zabrało... niebo.

Poszły więc listy do Lwowa, skąd uprzejmie wciąż zakomunikowano, że wiadomy pan **zainkasował 650 złotych.**

Właściciel hotelu zrozumiał wtedy, że przepadły nietylko pieniądze, ale i wyasygnowane koszty podróży.

Rozgoryczony niesłychanie dał znać do urzędu śledczego.

Grzecznościowy „inkasent" dowiedział się jednak o tym, jest więc ponoć nieuchwytny, a obecnie **przez trzecie osoby** wszczął starania o wycofanie tej skargi i zapłacenie należności ratami.

Takie oto dziwne skutki wywołał jeden **mały papierek** z przed przeszło 20 lat, na którym zapalony gracz w karty podpisał oświadczenie, że jest winien swemu partnerowi.

**Oko.**

**Wiem Wszystko**
**jest pismem**
**ludzi odważnych**




PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.—. OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajnie 60 gr., w tekście 1.20 gr., nadesłane 1 zł.: Komunikaty 80 groszy. — Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Poznańska 38 m. 15, tel. 7.16-09 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 9-ej do 13-ej i 3-ej do 6ej popołudniu. Konto w P.K.O.

Redaktor: Henryk Sieciński. Wydawca: Wilhelm Tokarzewski.

Druk. „Matador", Warszawa, Grzybowska 41, Tel. 5-98-44.